



*Szczęśliwego Nowego Roku  
2020*

# DYPLOM UZNANIA

*Vox Pelegrina*

*Przyznany*

*Pani Redaktor Naczelnej  
Zofii SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ*

*oraz*

*Zespołowi Redakcji  
Polonijnego pisma w Holandii  
„Scena Polska”*

*z okazji wydania 100-go numeru*

*w uznaniu*

*wytrwałego wkładu pracy redakcyjnej i z  
podziękowaniem za łączność polskim słowem Polaków  
poza granicami Ojczyzny*



Michel BOUVY  
Sekretarz Vox Pelegrina



Agata KALINOWSKA-BOUVY  
Prezes Vox Pelegrina

Mareil (F), dnia 02 grudnia 2019 r.



## ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Redaktor Naczelna

„Coś, co się wydarza, a nie zostanie opowiedziane, przestaje istnieć i umiera... Świat jest stworzony ze słów” – Olga Tokarczuk.

W tych krótkich słowach Olgi Tokarczuk jest zawarty sens istnienia naszego pisma. Gdy w 1992 roku rozpoczęła działalność Scena Polska w Holandii jako Stichting Pools Podium nie mieliśmy pojęcia, że tak długo będzie działać i że rozpoczniemy wydawanie własnego kwartalnika „Scena Polska”. Nasze pismo powstało właśnie po to, aby opowiedzieć to co się wydarza na tej Polskiej Scenie, czemu grupa wolontariuszy poświęca czas odbierając go czasami rodzinie, przyjaciółom, własnej karierze zawodowej... Ale gdy trzyma się w rękę zbiór 100 numerów archiwalnych „Sceny Polskiej”, to trzyma się w rękę 25 lat cudownych przeżyć i wrażeń, jest radość i satysfakcja, często duma. To naprawdę my zrobiliśmy, to się wydarzyło, jak...?

Czas mija, słowa i opowiedziany przez nie Świat nie umiera. Opis wydarzeń rozpoczęliśmy w 1994 roku od opisanego przedstawienia „Tutam” z Teatru Powszechnego w Warszawie z udziałem Joanny Żółkowskiej i Janusza Gajosa. Wspomnieliśmy wtedy tylko o tym co się wydarzyło w latach 1992–1993, a nie zostało opisane. Pamiętne przedstawienia: „Dwaj” i „Engagement” z Markiem Kondratem, Grażyną Barszczewską, Małgorzatą Pritulak i Zdzisławem Wardejmem, „Pan Tadeusz” z Beatą Ścibak, Janem Englertem, Mariuszem Benoit i Krzysztofem Kolbergerem, „Mazepa” z Gustawem Holoubkiem i plejadą gwiazd... koncerty Czesława Niemena w Delft i Nijmegen. Zostały po nich zdjęcia w prywatnych albumach, wpisy do książki pamiątkowej, notatki w kalendarium wy-

darzeń Sceny Polskiej. Może warto je jeszcze raz opowiedzieć, opisać, żeby dołączyły do tego Świata w „Scenie Polskiej”?

Te pierwsze lata pamiętają nasi serdeczni przyjaciele związani od początku ze Sceną Polską: Alek Kuca – pierwszy Wydawca i Mecenas kwartalnika, Andrzej Byrt – czytał kwartalnik na placówce handlowej w Brukseli, a potem jako ambasador w Berlinie i Paryżu, Alina Dragan – dziennikarka muzyczna, a poza tym dziennikarka wszechstronna, mieszkanka Amsterdamu czasowo „na placówce” w Polsce. Przysłali na moje ręce Gratulacje dla całego Zespołu, którymi dzielę się na stronie 7. Do gratulacji dołącza się też Elik Plichta z Radio Darmstadt przesyłając Wszystkim życzenia świąteczne. Scena Polska to Teatr Bez Granic. Takie hasło towarzyszy nam od początku.

Bez granic narodowościowych, państwowych, społecznych, wiekowych. Łączy nas Polska i język polski. Drukujemy artykuły doświadczonych pisarzy i dziennikarzy, ale mamy też miejsce dla debiutantów. Wiernymy, że zdolni uczniowie polskiej szkoły w Hadze zostaną z nami na dłużej i nie zapomną o Scenie Polskiej w przyszłości. Bo widzę tę przyszłość w jasnych barwach. Może to nastrój świąteczny, może literacki Nobel Olgi Tokarczuk, może brawurowe, inteligentne przedstawienie w Rotterdamie i później, wspaniały odbiór publiczności w Holandii młodych, mniej znanych tutaj aktorów ze spektaklu o Hemarze? Jest dla kogo i z kim prowadzić działalność imprezową i wydawniczą „Sceny Polskiej” w Holandii. Bądźcie z nami w 2020 roku i potem też. Do Siego Roku!



Obraz Marcela van de Kraats „Zima”

SCENA POLSKA | Kwartalnik, nr 4(101)/2019 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamek | Mac Map

OKŁADKA: Marcel van de Kraats (fragment obrazu)

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.

Projekt jest współfinansowany w ramach funduszy polonijnych Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.



# Przedstawienie peretka!

„Hemar. Marchewka – próba generalizacji”

W niedzielę wybrałam się do Utrechtu do Kikker Theater na spektakl „Hemar, Marchewka- próba generalizacji”. Cóż to był za wspaniały wieczór! Przedstawienie – prawdziwa perełka! Wszystkie komponenty były w nim doskonale! Teksty i piosenki Mariana Hemara, napisane na emigracji (ok 1942 w Anglii), a jednak tak bardzo, i czasami boleśnie, aktualne. Ale było nie tylko o polityce, też o zwykłych kwestiach „męsko-damskich” i innych codziennych sprawach. A wszystko przedstawione przez czwórkę młodych, utalentowanych aktorów występujących



Na scenie w teatrze Kikker 15 grudnia – tulipany dla aktorów

fot. Arch.



w produkcji Teatru Muzycznego z Torunia. Paulina Grochowska, Agnieszka Brenzak, Jeremiasz Gzyl i Maciej Makowski sprawili, że prawie dwugodzinny spektakl minął błyskawicznie! Jestem pełna podziwu dla ich zdolności, zarówno aktorskich jak i wokalnych. A do tego wszystkiego także instrumentalnych – we wszystkich piosen-

kach sami sobie akompaniowali, w prosty ale nadzwyczaj efektywny sposób. Po spektaklu jeszcze sposobność, żeby się spotkać i porozmawiać z artystami w bardzo miłej, nieformalnej atmosferze.

Cudowny, niezapomniany wieczór!

**JOANNA TRZCIONKOWSKA, HAARLEM**

*Dzisiejszy wieczór w Utrechcie to była wyjątkowa uczta dla serca i ducha. Humor, piękna muzyka, świetna gra aktorska... ale także momenty zadumy... Dziękujemy!!!  
Warto było wybrać się w tę podróż...*

Agnieszka Klimanek-Popławska



Po przedstawieniu – spotkanie aktorów z publicznością

fot. Arch.

# Teatr Muzyczny z Torunia w Utrechcie

Dziękujemy Scenie Polskiej w Holandii za zaproszenie. Ostatnie dni mieliśmy przyjemność spędzić w Holandii w mieście Utrecht, gdzie mieliśmy przyjemność zagrać dla Polonii spektakl muzyczny „Hemar. Marchewka – próba generalizacji”. Dziękujemy za ciepłe przyjęcie. Było to dla nas wielkie wyróżnienie i wzruszający czas!

Paulina Grochowska



**Agnieszka Brenzak** – absolwentka wokalistyki jazzowej na Akademii Muzycznej im. S. Moniuszki w Gdańsku, oraz Państwowego Policealnego Studium Wokalno-Aktorskiego im. D. Baduszkowej w Gdyni. Współpracuje z Teatrem Muzycznym w Gdyni i Teatrem Muzycznym w Toruniu (*Tajemnica Tomka Sawyera, Hemar. Marchewka – próba generalizacji*). Na deskach Teatru Muzycznego w Gdyni można ją zobaczyć w spektaklach *Shrek, Chłopi, My Fair Lady*. Brała udział w Sopot Top of the Top Festiwal 2013 – jako muzyk sesyjny w Orkiestrze Tomasza Szymusia. Na co dzień współpracuje z zespołem Macieja Miecznikowskiego.

-Aktorskiego im. D. Baduszkowej w Gdyni oraz Akademii Muzycznej im. St. Moniuszki w Gdańsku – wokalistyka jazzowa. Na swoim koncercie ma role w produkcjach Teatru Muzycznego w Łodzi: *Jesus Christ Superstar, Cyrano, Sen nocy (nie) letniej*, Teatru Muzycznego w Gdyni: *Grease, Fame, Skrzypek na Dachy, Shrek*, Teatrem Komedii Valldal: *Księga Dżungli, Emigrantka* (Nagroda za najlepszego aktora na festiwalu Off-Północna w Łodzi). Zagrał również w serialu *Linie życia* i filmach *Józek idzie do nieba, Czarny Czwartek, Rubin Maharadży* (zdjęcia kręcone w Indiach). Aktualnie gra Franka w Teatrze Muzycznym Roma w musicalu *Piloci*.



**Paulina Grochowska** – aktorka musicalowa, kierownik wokalny. Absolwentka Akademii Muzycznej im. S. Moniuszki w Gdańsku na kierunku Jazz i Muzyka Estradowa, oraz Studium Wokalno-Aktorskiego im. D. Baduszkowej w Gdyni. Współpracuje z wieloma teatrami w Polsce, m.in. Teatrem Syrena i Teatrem Rampa w Warszawie, Teatrem Jaracza w Olsztynie oraz Teatrem Muzycznym w Toruniu. Na co dzień występuje także na koncertach Studia Piosenki Polskiego Radia.



**Maciej Makowski** – absolwent warszawskiej Akademii Teatralnej. Współpracuje z warszawskim Teatrem Dramatycznym oraz Teatrem Kamienica. Od 2012 roku w stałej obsadzie Kabaretu *Na Koniec Świata*. Szerszej publiczności znany z roli Piotra Hartownego w telewizyjnym serialu *Złotopolscy*, roli Andrzeja Górczyńskiego w serialu *Klan*, roli Piotra Bednarza w filmie *80 milionów* Waldemara Krzystka oraz Mikołaja z filmu *Planeta Singli* w reż. M. Okorna.



**Jeremiasz Gzyl** – aktor, wokalista, instruktor teatralny. Absolwent Studium Wokalno-



Od lewej: realizatorzy - Piotr Frąckiewicz, Dominika Sodel, Ryszard Gumowski, Jędrzej Rochecki i aktorzy w hotelu w Utrechcie

# Ja to mówię z głowy, czyli z rozumu



## GRAŻYNA GRAMZA

Jak co roku w jeden z listopadowych wieczorów mieliśmy okazję gościć w Holandii polskich artystów. Tym razem Scena Polska zaprosiła Krzysztofa Maternę i Olę Bołądź z monodramem w duecie zatytułowanym „Dobry wieczór Państwu”. Autorem tekstów i reżyserem był sam Krzysztof Materna, a inspiracją życie artysty.



Zwiedzanie Delft

fot. Arch

Po wielu latach pracy w showbiznesie zapisał on swoje doświadczenia w formie zabawnego monologu przeplatane rozmową z asystentką, w którą brawurowo wcieliła się Olga Bołądź.

W „Dobry wieczór państwu” zobaczyliśmy Maternę w roli konferansjera, który czekając w garderobie na swój kolejny występ, zdradza publiczności prawa rządzące polskimi mediami i rozrywką.

Było zabawnie i ironicznie, ale też refleksyjnie. Sam autor w jednym z wywiadów mówił, że nie chciał tylko wyśmiewać panoszącej się wszędzie głupoty i ludzi znanych z tego, że są znani. Chciał być „jak Stańczyk, który raz bawił, a innym razem ostrzegał króla.” Dla Materny mistrzami byli Jarosy, Dziewoński, Rudzki – wybitne postaci sceny, które zajmowały się także ka-



Olga Bołądź i Krzysztof Materna

fot. Marcin Gramza

baretem i konferansjerką. Dziś prowadzący „ma być tylko ładny” a od widzów nie wymaga się żadnego wysiłku intelektualnego. Słowo stało się magmą bez znaczenia. Zawsząd jesteśmy zalewani rozrywką, która nie bawi. Oglądaliśmy rozmowy, w których nikt nie rozmawia. Słuchamy piosenek, które nie mają żadnej treści. Otoczyliśmy się szumem i nie dociera do nas, że on nas powoli pochłania.

Staliśmy się powierzchowni i nieuważni. Brak nam szacunku do siebie i innych. Sceny z rozmowami telefonicznymi asystentki, gderliwe i nieuprzejme zachowanie artysty były jak lustro. Przecież to my sami w domach, w pracy... Telefon jest ważniejszy niż osoba obok, a brak cierpliwości wobec siebie, to też nasza przywara. Artyści w zabawny sposób prezentowali

też różnice pokoleniowe. Stary konferansjer, który nie potrafi odebrać maila, a nawet paczki od kuriera i nie orientuje się kim jest Feel czy Margaret zmuszony jest pracować z dziewczyną, która nie rozstaje się z ipadem, a jej podstawowym źródłem wiedzy jest Wikipedia. Kiedy artysta „mówi z głowy, czyli rozumu”, to asystentka gubi się w jego wywodach. Niemniej razem tworzą całkiem udany duet i chociaż konferansjer cieszy się z obniżonego wieku emerytalnego w Polsce i z tego, że nie będzie musiał długo z nią pracować, to jednak bez jej przewodnictwa zginąłby w nowym świecie celebry.

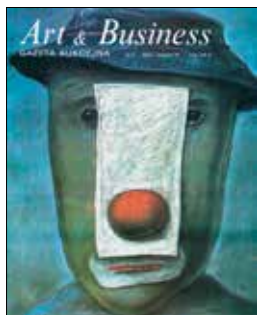
Olga Bołądź i Krzysztof Materna zagrali świetnie i bawili nas cały wieczór. Miło było pośmiać się w dobrym towarzystwie, a na koniec spotkać aktorów po spektaklu. ■



Publiczność w teatrze Zuidplein w Rotterdamie

fot. Marcin Gramza

# To my jesteśmy na tej Scenie



## ALOJZY KUCA

Kolejny raz przejrzałem starannie i przeczytałem wszystko, co mnie zainteresowało w setnym numerze SCENY POLSKIEJ. Przejrzałem też numery archiwalne. Widzę ogromny postęp edytorski, redakcyjny i merytoryczny. Gratuluję! Prawie pół wieku byłem wydawcą, naczelnym redaktorem i publicystą. Wiem, jak trudno pracuje się nad każdym numerem. Doceniam pracę całej redakcji, bo wydawanie pisma jest wysiłkiem zespołowym. Zwróciłem uwagę na nagłówki: HOLLANDIA \* EUROPA \* ŚWIAT. Bardzo ambitne, dobre, prawdziwe. I bardzo uciążliwe i pracochłonne, bo materiały wyszukujesz w kraju, redagujesz w Holandii, drukujesz w Swarzędzu i adresujesz do Europy i całego świata.

Setny numer rozsyłasz z entuzjazmem i perspektywą. Piszesz: „Mamy za sobą 100 wydanie kwartalnika. Zaczynamy drugą setkę!”. Twój zapał zawsze mi imponował. Podziwiam. I dziękuję za miłe słowa pod moim adresem.

Pamiętam, że kiedy wydawałaś pierwszy numer „Sceny Polskiej”, ja już od pięciu lat, od lipca 1989 roku, wydawałem „Art.& Business” i od dwudziestu lat „Gazetę Targową”. Setny numer „Artu” ukazał się w 1998 roku, ale po następnych dwóch latach pożegnałem się z tym tytułem. Nie miałem już ani siły, ani pieniędzy. To była utopia, żeby za prywatne pieniądze promować polską sztukę, co w rzeczywistości produkowało więcej wrogów niż przyjaciół. Z pewnością znasz to zjawisko, bo to polski fenomen.

Jesteś dzielniejsza ode mnie, bo „Scenę Polska” wydajesz już 25 lat. Czwierć wieku w najtrudniejszych czasach dla kultury polskiej! Ogromny sukces! Nie ma w Polsce pisma, które powstało w III Rzeczypospolitej i do dziś jest wydawane przez tego samego wydawcę i redaktora naczelnego?! Pamiętam zwykłą niechęć i wrogą zawiść wobec Ciebie, zwłaszcza ze strony urzędników tzw. Ministerstwa Kultury, których stać było na wszystko, tylko nie na promocję polskiej kultury i sztuki.

Opowiem Ci pewną anegdotę, którą przypomniał w swojej książce Wojtek Makowiecki. Książka ma tytuł „Szczelbaczehowa 2”, a dotyczy ludzi, którzy tworzyli kulturę Poznania lat 90. Otóż przypomniałem tam, jak Julek Braun – ówczesny przewodniczący Sejmowej Komisji Kultury, zaciągnął mnie do ministra kultury Kazimierza Dejmka, aby wyzebrać jakąś zapomogę dla mnie. Mówił do Dejmka: „Alek Kuca nigdy nie dostał złotówki na wydawanie miesięcznika „Art. & Business”, a pismo znane jest na całym świecie. Skutecznie promuje polską sztukę i kulturę, jest naszą wizytówką. Tymczasem Alek Kuca pożyczka już pieniądze na wydawanie pisma, nie ma za co wydać kolejnego numeru.... I co on ma zrobić z tym „Artem”? Na co Dejmek, paląc papierosa i patrząc mi prosto w oczy odpowiedział – „niech sobie w dupę wsadzi!”. Z pewnością wiele razy w kraju, i w różnych miejscach, słyślaś podobne rady.

Patrząc na Was i Twoją pracę rozumiałem kiedyś, że „wspólnota” to nie jest metafizyczne pojęcie, że to może być rzeczywistość i realność. Jak w Waszym Zespole. „Scena Polska” to nie jest pisanie w próżnię, do kogoś tam i gdzieś tam. „Scena Polska” to pisanie do siebie nawzajem, do widza, który przyjdzie na spektakl przez Ciebie, przez Was, urządzony w Holandii i zaimportowany z Polski. Byłem, widziałem, przeżyłem.

Głównym bohaterem „Sceny Polskiej” i jej przedstawień są Polacy, wybitni, znakomici, pierwsze w kraju nazwiska, moralne i patriotyczne autorytety. Więć głównym bohaterem „Sceny Polskiej” jest Polska. A Polska ma taki charakter, że nie jest wdzięczna nikomu, za nic. No, może po latach pochyli się nad grobami swoich dobroczyńców. „Scena Polska”, czyli Polska jest na tej scenie.

Wiem, że nie straciłaś linku z rzeczywistością. Życzę, żebyś nie zaprzestała dialogu z krajem, z jego kulturą, która jest jedynym bogactwem tego narodu.

Jestem pewien, że jedyne, czego nie zrobisz, to się nie poddasz w swojej misji rozgłaszania polskiej kultury. Jesteś siłaczką.

Piszę pod wrażeniem mowy noblowskiej Olgi Tokarczuk, pięknie zatytułowanej „Czuły narrator”. Prawdę mówiąc, to jest przesłanie zadedykowane Tobie i takim jak Ty. Czytając tę mowę – często przychodziła mi na myśl. A zwłaszcza fraza Olgi Tokarczuk: „Coś, co się wydarza, a nie zostanie opowiedziane, przestaje istnieć i umiera... Świat jest stworzony ze słów”.



Życzę „Scenie Polskiej”, Tobie i Zespołowi, jeszcze milionów słów, setki milionów słów, żeby starczyło na następne 25 lat, do złotych godów. A pan Mariusz Mamet z pewnością je poskłada. **ALEK KUCA**

100 ciepłych uścisków i 100 serdecznych buziaków z okazji 100-nego numeru Sceny Polskiej – Pools Podium. Numer przeczytałem uważnie, odnajdując w nim również mych przyjaciół (np. Alek Kuca), ale najważniejsze w nim to ta magiczna liczba: sto numerów!!! Dowodzi ona, że edycja trwa z potrzeby serc, bardziej potrzeby uczuć, ale zapewne intelektu też, chociaż jak za każdą sztuką kryją się nade wszystko emocje. Życzę Tobie i Wam wszystkim, drodzy Twórcy Sceny Polskiej – Pools Podium, dalszych emocjonalnych inspiracji, które oby pozwoliły na co najmniej podwojenie liczby kolejnych edycji wydawnictwa, czemu będę z entuzjazmem dalej kibicował. Kolejnych stu wydań i dużo zdrowia, i dużo radości... **ANDRZEJ BYRT**

Dziękuję, że jesteś. I że Ci się chce:) Śledzę Scenę i po cichu kibicuję. Czasami mi żal, że nie mogę uczestniczyć, ale co zrobić. Jeszcze raz życzę dobrej motywacji, zdrowia, energii i wspaniałych autorów. **ALINA DRAGAN**

Proszę, przekaz Wszystkim tym wspomniałym Twoim współpracownikom wyrazy największego szacunku i podziękowań za niezwykłą pracę, której efekty są fizycznie tak ulotne, ale na szczęście pozostają w naszych głowach i sercach na wiele lat, a dla niektórych na całe życie.

Życzę Wam wytrwałości, a o radość się nie martwię, bo bez niej nic by się nie udało.

Wszystkiego dla Was kochani najlepszego i zadbajmy o to, żeby 2020 był jeszcze lepszy oraz obfitszy w wydarzenia na Polskiej Scenie w Holandii.

Wasz fan – **ELIZEUSZ PŁICHTA**

# Zamiast wigilijnego opłatka



**ANDRZEJ SKIBNIEWSKI**

Wyobraźmy sobie taką scenę: jesteśmy w małej salce w opolskiej „Kawiarni Lwowskiej”<sup>1</sup>

Późny, zimowy wieczór. Zapach choinki i świeżych, posypanych cukrem pączków. Są one z konfiturą z róży, naturalnie, świeżo usmażone na smalcu zgodnie z przepisem prababci zapisanym przez nią kaligraficznie dawno temu, „jeszcze za Nieboszczki Austrii”. Pachnący korzeniami Galicyjski grzaniec, zapach wanilii i zapalonych świec. Przy pianinie urocza Galicjanka – urodzona w Wadowicach poetka, kompozytorka, piosenkarka, autorka scenariuszy słuchowisk i bajek, podziwiana przez szeroką publiczność i wielbiona w kręgach artystycznej bohemy. Słuchamy muzyki, piosenek i wierszy. Czas zatrzymał się w miejscu, pomimo późnej już pory ani gospodarzom spotkania ani nam do domu jakoś niespieszno.

Dama przy pianinie to Alicja Tanew. Zadebiutowała pół wieku temu (byłem wtedy studentem) w Studenckim Kabarecie Piosenki „Sowizdrzał” w Krakowie. Wtedy jej „Romans na pół rosyjski” zdobył pierwszą nagrodę w Telewizyjnej Gieldzie Piosenki. Później wiele jej piosenek śpiewano w Filharmonii Krakowskiej, w „Piwnicy pod Baranami” i w oglądanych do późnej nocy przez połowę Polski kultowych „Spotkaniach z balladą”. Koncertowała w mieście innymi w Paryżu, Caracas, Bostonie, na Haiti, na pokładzie statku M/S „Stefan Batory” i w wielu miejscach w Polsce. Pierwsza jej płyta, o zagadkowym tytule „...i tak to było!” została wydana w 1999 r., kolejna autorska płyta „Moment” ukazała się w dwanaście lat później. Od dziesięciu już lat prowadzi w Krakowie własną piwnicę artystyczną „Scena ATA”<sup>2,3</sup>. Występują tam bardowie z bogatym repertuarem poetycko-muzycznym i teatralnym, wystawiana jest polska fotografia i malarstwo współczesne. Alicja promuje poetów, aktorów i artystów, tworzy także własne spektakle i bajki mu-

<sup>1</sup> <https://www.facebook.com/lwowska.opole>

<sup>2</sup> <https://www.facebook.com/Scena-Ata-Alicji-Tanew-133995093323961/>

<sup>3</sup> <http://tanew.info.pl/>



Alicja Tanew

## Wigilijne zamyślenie

*Nie wiem ile razy jeszcze  
będę mogła tamać się opłatkiem  
z własnym losem*

*nie wiem ile razy jeszcze  
usłyszę choinkowe szepty  
śpiwnych aniołów*

*gdy z nieba nad stołem  
spadać będą nadzieje  
na biały obrus  
świętecznych życzeń*

*Przed opłatkiem*

*Wigilia przystrojona w gwiazdy  
ciszą się na opłatkach bieli  
umyte główki mają dzieci  
przy stole siedzą już anieli*

*siedzą, patrzą i czekają  
aż nam się radość w sercach zbierze  
aż zaśpiewamy Gloria! Gloria!  
aż się zbudzimy jak pasterze*

zyczne. W jej Piwnicy, z pomocą wielu przyjaciół, artystów, piosenkarzy i aktorów odbywają się Krakowskie Noce Teatrów i Noce Poezji. Tworzy w języku polskim, a jej wielu jej wielbicieli mieszka na stałe w Anglii, Belgii, Holandii, USA, Chinach i Australii. Zapraszam w jej imieniu do Krakowa.

Niestety, nie mogę podzielić się teraz z Państwem opłatkiem i osobiście złożyć bożonarodzeniowo – noworocznych życzeń. Zamiast tego przesyłam krótkie wspomnienie z mojego pierwszego spotkania z Alicją oraz kilka jej wierszy, przesłanych specjalnie dla Czytelników „Sceny Polskiej w Holandii – Pools Podium”. Niech świąteczny nastrój, muzyka, poezja, polskie kołędy i pastorałki towarzyszą nam przez nadchodzące dni, a ciepło i wspomnienie tego, co było dobre w minionych latach dodadzą nam siły i energii w nadchodzącym roku. Prettige Kerstdagen!

## Kolęda Wigilijna

*Śnieży i śnieży  
I kto pobieży  
Dać Maleńkiemu okrycie  
Śnieży i śnieży  
I kto pobieży  
Tam, gdzie zrodziło się życie  
Jak w środku zimy pójdziemy  
Czy nie zabraknie nam tchu  
Śnieży i śnieży  
I kto pobieży  
Ludzi obudzić ze snu*

*Wszyscy wstaniemy  
Wszyscy pójdziemy  
Kiedy historia tak każe  
W śniegu, nie w śniegu  
Byle do brzegu  
My niestrudzeni żeglarze  
Potośmy naród już taki  
Żeby na warcie wciąż trwać  
Za każdy oddech płacić z osobna  
Bo zawsze na to nas stać*



# Świąteczny śledzik raz poproszę



**MAREK GRĄDZKI**

U ruchomiliśmy z moim Ślubnym Szczęściem i naszymi przyjaciółmi Ewą i Piotrem weekendowy biesiadownik pod nazwą Linie w Ogniu-kuchnia historyczna. Zrobiliśmy to latem a tu jakby nigdy nic dopętały się Święta. Ten czas kręci się w tak szybkim tempie, że nijak za nim nadążyć nie można! Najpierw dziewczyny rzuciły się lokal przyozdabiać. Ewa ponacięła z okolicznych drzew jemioly, pozawieszała gdzie mogła, potem przyszła kolej na świerkowe gałązki, też ozdobiły okna. Do tego jeszcze w centralnym miejscu przed drzwiami stanęła choinka w wiadrze. Mam bowiem nadzieję, że przeżyje i wystawię ją do ogrodu. Do tego wszystkiego girlandy lampek i można było uznać, że świąteczna atmosfera zapanowała w Ogniu. Gwoli wyjaśnienia nazwa wzięła się stąd, że wszystko co robimy na ciepło jest przygotowywane na żywym ogniu, w dwóch „angielkach”, dwóch piecach chlebowych i na grillu, kuchnia historyczna bo korzystamy z przepisów przodków.

Święta jednak to specyficzne i jak tu zrobić śledzia z grilla? No właściwie byłoby można, ale tak naprawdę po co? W zasobach mamy przyjaciół, najwybitniejszych polskich szefów kuchni. Odwiedził na nas Mistrz Patelni z zachodniopomorskiego



Andrzej Szylar. Miszecz ci to nad miszecz! Jak chcesz Szanowny Czytelniku sięgnąć do głębin jego wiedzy zajrzyj na facebooku do Śledziożerców a nacytasz się tyle, że śliną klawiaturę zabryzgasz. Z takimi też fantazjami zjechał w Wielkopolskę do naszego Linia. Zamknął się w kuchni i zaczął czarować. Nagle spod jego palców zaczęły wyskakiwać pierogi, ale czarne ci one były! Okazało się, że do ciasta dodał czegoś z kałamarnicy. Śledź z wody, ona z wody to się nie gryzły. Ryba była pięknie filetowana, wymoczona z nadmiaru soli w mojej, koziej serwatce i pokrojona w drobną, piękną kosteczkę, złamana cebulą. Wszystko to pięknie doprawione młotkowanym pieprzem i świeżym rozmarynem. By zaś trzymało się

kupy dołożone kurze żółtko. By na talerzu błyszcząły różne kolory pojawił się śledź karmazynowy. Andrzej wykorzystał moje kiszzone buraki i najpierw wymoczył śledzia w kwasie, potem pokroił w paski i dołożył skarmelizowanego buraka na miodzie. Do tego wszystkiego dołożył uturlane przez siebie kuleczki. Okazało się, że to zsiekany śledź z jakim i tartą bułką i cebulką, obsmażony na złoto i następnie wrzucony na jedną dobę do zalewy sporządzonej z winnego octu, z kilkoma łyżkami balsamicznego. Półmisek, na którym to wydawali się prezentować się bajecznie. Andrzej zaś uśmiechał się pod wąsem mówiąc, że przecież to nic takiego, to wszystko łatwizna i prostota. Kuchnia wszak nie znosi udziwnień i wielkich kombinacji. Najlepiej rach ciach gdy pomysł w głowie błyska i na stół. Nasi świąteczni goście zażerali się wprost tymi smakolykami, smętnym wzrokiem patrząc na pustoszejący talerz, że im czuć go malizną.

Na naszym domowym, wigilijnym stole też śledzia zabraknąć nie może. Pojawi się zaraz po opłatku rozpoczynając wigilijną wieczerzę. Wam też Szanowni Czytelnicy życzę wszystkiego co najlepsze z okazji tych jakże ważnych, rodzinnych Świąt. Gdy zaś losy Was rzucą w wielkopolskie strony zajedźcie na nas, do Linia w gminie Lwówek w powiecie nowotomyskim. Podejmiemy Was godnie i na bogato potrawami, które powstaną na Waszych oczach, przygotowane na żywym ogniu!



# Amerykański indyk



## EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Zdarzyło się to późną jesienią 1979 roku. W tamtych, peerelowskich, czasach członkowie załóg polskich statków, do których i ja należałem, byli – całkiem zresztą logicznie – postrzegani jako elita. Głównie z powodu luksusu dostępu do artykułów będących zwykle poza zasięgiem tzw. szarego obywatela. Regularnie przecież bywaliśmy na „zgniłym Zachodzie”, gdzie – jak wiadomo – sklepy wyglądały jednak nieco inaczej, niż te w Oczyszczalni.

No więc zbliżał się koniec roku 1979, a wraz z nim kończyła się „Dekada Gierka” (o czym on sam raczej nie miał pojęcia), nie powstała jeszcze Solidarność, na półkach tzw. delikatesów zaczynały już królować słoiki z musztardą i butelki z octem. Popularny „marynarski handel” kwitł więc nad wyraz bujnie; właściwie wszystkie przywożone przez nas produkty sprzedawały się na pniu w dowolnej ilości. Najpopularniejsze na naszej trasie były keczupy i „cremona”, czyli sproszkowana śmietanka do kawy. Nasz rejs na Wielkie Jeziora Amerykańskie (i kanadyjskie) zahaczył o Thanksgiving. A Święto Dziękczynienia w USA to oczywiście indyki. W supermarkecie, gdzie – ku niepomniemu zdziwieniu rodowitych Amerykanów – kartonami kupowaliśmy wspomniane keczupy i cremone, przyciągały nasz wzrok ogromne reklamy tych domowe ptaków, będących dla Amerykanów tym samym, czym dla nas karpie na wigilię. Nikt właściwie nie wie, skąd ta tradycja. Thanksgiving to święto udanych zbiorów, które pierwsi osadnicy, wspólnie z Indianami, obchodzili po raz pierwszy w 1621 roku, ale historia milczy o udziale w nim indyków.

Reklamy okazały się na tyle sugestywne, że biorąc pod uwagę nasz rozkład dalszej podróży, który przewidywał powrót do portu w Gdyni tuż przed świętami Bożego Narodzenia, postanowiłem kupić dziękczynnego indyka. Ptaszysko było ogromne, ważyło chyba z siedem kilo, ale jakoś udało mi się go przytargać na statek i – w porozumieniu z ochmistrem i szefem kuchni – umieścić w ciężkiej chłodni (to taka „zamrażarka” na statku, wielkości pokoju, gdzie przewozi się prowiant na dłuższe dystanse i gdzie tem-

peratura wynosi minus 18-20 stopni Celsjusza).

Ze Stanów do Rotterdamu wieźliśmy ładunek makuchów (za Encyklopedią PWN: produkt przemysłu olejarskiego, pozostałość po wytoczeniu w prasach tłokowych oleju z nasion roślin oleistych). Jest to tzw. masówka czyli coś, co wysypuje się luzem do ładowni przy pomocy elewatora, a wybiera czerpakami. Nie było tego dużo, liczyliśmy, że przejście naszego ładunku zajmie Holendrom jeden dzień. Dla nas oznaczało to akuratratyle, żeby zrobić ostatnie zakupy przed Krajem. A dalej już tylko pół dnia w Hamburgu, dokąd mieliśmy dostarczyć jakąś drobnicę, przeskok przez Kanał Kiloński na Bałtyk i 21-22 grudnia w domu. O tym, że zamelduję się z indykiem, powiadomiłem rodzinę, która dzięki temu miała jeden problem z zaopatrzeniem mniej. Jednego tylko nie przewidzieliśmy – że nagle i z wściekłością zaatakuje nas zima. Na Północnym Atlantyku dopadł nas solidny mróz połączony z silnym wiatrem. A sztorm w tamtym rejonie nie należy do zjawisk ulubionych przez ludzi morza. A już całkiem go sobie nie życzą, kiedy śpieszą się na święta do domu. Bo statek podczas sztormu nie może poruszać się szybko. I tak wypłynęliśmy do Rotterdamu całe dwa dni później niż zamierzaliśmy, 20-go grudnia. Mimo wszystko wciąż nie traciłmy nadziei; jeszcze mogło się udać. Nadzieja uleciała jednak z mroźnym, północnym wiatrem, kiedy okazało się, że makuchy...zamarzły. I stały się, w miejsce luźnego proszku, litą skałą, którą – żeby nabrać czerpakami – należało najpierw kilofami przywrócić do stanu pierwotnego. Po pierwszym dniu pracy holenderskich dokerów ładownia wydawała się nam równie pełna, jak wtedy kiedy ją załadowano. Wieczorem w mesie nastąpiła dramatyczna narada. Wniosek był jeden – jeśli chcemy zdążyć na święta, to musimy pomóc tym nieszczęsnym Holendrom. Bosman wydał nam cały sprzęt przeciwpożarowy, jaki znajdował się na statku – kilofy; siekiery; łomy; łopaty co tam jeszcze było na stanie – i tak wyposażeni ruszyliśmy do ładowni. Niczym na sąd ostateczny: nie było równych i równiejszych. Zgodnie szli obok siebie łupać makuchy oficerowie i załoga. Wzorcowo solidarni rąbaliśmy, tłukliśmy, rozszczepialiśmy i cięliśmy na drobne kawałki zmarzlinę, której nie powstydziałby się Grenlandia. I tak upłynęła nam cała noc, aż do świtu. A kiedy rano przyszła do pracy kolejna zmiana rotterdamskich dokerów, stanęliśmy w obliczu konfliktu dyplomatycznego. Ku naszemu ogromnemu zaskoczeniu, zamiast wyrazu radości i uznania wobec tak wspaniałej, całkowicie społecznej pracy, na twarzach Holendrów malowała się oczywista wściekłość. Potraktowali naszą akcję niemal jak dywersję – bo niby dlaczego odebraliśmy im możliwość dodatkowego zarobku?!

Długo tłumaczyliśmy, że święta, że rodziny czekają, że dzieci, żony, narzeczone, że pierogi,



że bigos (że indyk) i że chcemy jak najszybciej, ale w końcu zrozumieli. Tego samego dnia wieczorem skończyli wyładunek, a my „pełną parą” (statek był napędzany silnikiem spalinywym) popłynęliśmy do Hamburga. Do portu weszliśmy 22-go grudnia. Szansa na wigilię w domu zmalała niemal do zera, ale gdyby udało nam się wyjść z Hamburga 23-go, to pierwszy dzień świąt wciąż był realny. Jednak los sprawił, że nasze przygody miały trwać nadal. Okazało się, że w hamburskim porcie nie ma sił przerobowych. Mieliśmy czekać do 27 grudnia. Nie pomogły, wspomagane koniakiem, rozmowy z kapitanem; Niemcy byli współczujący, ale bezradni.

To hamburskie Boże Narodzenie z całą pewnością było najgorsze w moim życiu. Wszyscy zresztą czuliśmy się tak, jakby nas nie wpuszczono do domu, choć już pukaliśmy do drzwi. Wigilię spędziliśmy w ponurych nastrojach i nawet nie chciało nam się śpiewać kołęd. W samotności, albo dwójkami, w zaciszu kajut wypijaliśmy kupione już do domu trunki. Mój obiecany rodzinie indyk tkwił tymczasem w ciężkiej chłodni naszego statku, zamiast leżeć na świątecznym stole w towarzystwie pomarańczy i żurawiny. Czy mojej rodzinie udało się znaleźć coś w zamian? Byłem przekonany, że nie. W tamtych czasach graniczyło to prawie z cudem.

Przypłynęliśmy do Gdyni 30-go grudnia po południu. Indyk, wyjęty na wszelki wypadek dzień wcześniej z zamrażarki, najwyraźniej nie odczuł na własnej skórze wzrostu temperatury, bo po przyjeździe do Gdańska był równie solidną bryłą jak makuchy w Rotterdamie. A ja musiałem go podzielić. Połowa miała zostać u mamy w Gdańsku, a drugą połówkę chciałem zabrać do swojego domu na południu Polski. Uznałem, że tym razem siekiera czy kilof może być rozwiązaniem zbyt drastycznym, dlatego wybrałem piłę do drewna. Skubany rzucał się na wszystkie strony, uciekał, ślizgał po kafelkach, wyskakiwał w górę, spadał, obracał się. Walczył do końca o przetrwanie w jednym kawałku. Ale ja także nie zamierzałem się poddać. Na ulaskawienie było już za późno. Po godzinie ciężkiej pracy udało mi się wreszcie przepiłować go na dwie części, po czym trafił do piekarnika. Patrzyliśmy jak się rumieni.

Smakował, jakby był nie z tego świata. Ale cóż się dziwić. W końcu faktycznie nie był. „Taki słizny, amerykański!”

**Wszystkim Państwu życzę dobrych świąt i wspaniałych świątecznych potraw. Niezależnie od tego jaki rodzaj drobiu zagodzi na waszych stołach.**

## Refleksje, zastanowienia

## Piję za Nowy Rok!



## JULIUSZ BURGIN

A gdy skołowani wstali tytani  
a bladeść znaczyła im lica,  
przyszli kompani, też utyrani  
i pozdrowili w mowie Mickiewicza.

Więc dykteryjka bądź rubasznie wcale,  
tu łyk wódeczki, tam skrzydełko kacze,  
to dyskursu przaśne, to ściszone żale...  
Kac się skończył, Nowy Rok się zaczął.

Choć sam daję się oczywiście ponieść sylwestrowemu szałowi, kiedy się uspokoi, przychodzi refleksja. Właściwie nie bardzo wiadomo dlaczego wpadamy w histerię z powodu 24-ej godziny każdego 31-go grudnia? Data i godzina nie mają większego znaczenia, bo albo to obiektywna astronomia albo kwestia umowy, konwencji. A tu takie emocje!

Podobne jest z urodzinami. Też ogarnia nas jakiś amok choć tak jak w przypadku Nowego Roku, nie bardzo zdajemy sobie sprawę o co chodzi. Świętować powinni właściwie rodzice, bo to ich wyczyn. A my? My się po prostu starzejemy.

Dotarcie do jakiegoś (jakiegokolwiek) punktu na osi czasu nie jest żadnym osiągnięciem, przychodzi samo. Więc take it easy, nie ma się czym ekscytować.

Doskonale rozumiem radość, nawet szaloną, nieokiełznaną, kiedy człowiek coś osiągnie, zdobędzie, wypracuje – skoczy wyżej niż inni, napisze książkę, muzykę, wyda poemat, odkryje coś niebywałego, wymyśli niesłychaną teorię, zrobi film, teatr, zarobi milion, wykuje sobie dobry życia los lub choćby coś ładnego dla ozdoby... Słowem, kiedy czegoś dokona. Wtedy na miejscu jest radość, pijaństwo, szal i entuzjazm. Ale osiągnięcie punktu na osi czasu? Przecież wystarczy tylko poczekać, dożyć.

Można się oczywiście cieszyć, że się dożyło. Myślę jednak, że przy takiej okazji radość powinna mieć raczej charakter spokojnej satysfakcji, refleksji, może ulgi, (albo przerażenia, na przykład cierpiących). Spokojnej satysfakcji a nie furioso!

Czy to urodziny czy 31 grudnia – nie wiem czy jest się z czego aż tak nieokiełznanie radować. Przecież przyszłość skracca się wtedy o kolejny rok.

Bo co do mnie, to nie starość tak zasmuca ale martwi mnie, że od życia do niebycia c o – r a z m n i e j .

## Brak fantazji



## JERZY SKOCZYLAS

Pan Zenek, człowiek bywały,  
mistrz taktu i kurtuazji,  
aż zmartwił kiedy usłyszał:  
– Zenonie, brak ci fantazji!  
Gdybyż to jeszcze powiedział  
kolega albo znajomy,  
ale uwaga ta padła  
z ust jego młodzianki żony,  
z którą był miesiąc po ślubie,  
więc pałał dziką miłością  
i pewien był, że i ona  
pała też doń z wzajemnością.

W dodatku kontekst tej sprawy  
był wstrząsający niezbitcie,  
bo wygłosiła tę kwestię  
wychodząc z łóżka o świcie.  
A on się czuł jak Magellan  
po erotycznej podróży,  
którą rozpoczął jak zwykle,

wręczając żonie kwiat róży.  
Co było stałym preludium  
ich romantycznych okazji,  
i myślał, że był wspaniały,  
a tutaj cios: brak fantazji.

Pan Zenek przyjął na klątę  
straszną uwagę żony,  
lecz w środku czuł się jak okręt  
trafiony i zatopiony.  
Oddał się zaraz lekturze,  
niepewny swojego jutra,  
poczytał co proponują  
Starowicz i Kamasutra.  
Zakupił czerwoną różę  
i moźny w nauki Azji  
przystąpił szturmem do żony,  
a rano: brak ci fantazji.  
Padł jak piorunem rażony,  
tym sprowadzeniem do zera  
i pobiegnął Zenek czym prędzej  
do uznanego trenera.  
A ten mu zaaplikował  
siłownię, basen i korty,  
kąpiele w indyjskich błotach  
i chińskie, cudowne szorty.  
Pan Zenek biegał i ćwiczył,  
nawet zatańczył na rurze,  
wieczorem wrócił do domu  
i dając małżonce różę,  
przypuścił szaleńczy atak,

rozkosze fundując żonie,  
a rano werdykt jak zawsze:  
– brak ci fantazji, Zenonie.  
Omal go to nie zabiło,  
lecz się nie poddał frustracji  
i sięgnął po ostateczność,  
po dobrodziejstwa farmacji.  
Przełknął w postaci pigułki  
chemiczny pokarm niebieski,  
chwytając się jak tonący  
ostatniej ratunku deski.  
A róż dał tego wieczoru  
małżonce czterdzieści cztery,  
po czym przypuścił natarcie  
jak wojak spod Samosierry.  
Lecz rankiem wszystko runęło  
jak pokój w Górnej Abchazji,  
bo żona znowu to samo:  
– mój Zenku, brak ci fantazji.

I wtedy Zenek nie zdzierzył  
i ryknął: – tak się nie godzi!  
Nie zniosę już tego dłużej!  
Mów zaraz o co ci chodzi!?  
A ona, lekko zdumiona,  
wyjęła różę z wazonu  
i rzekła, rzucając bukiet  
prosto do kubła z balkonu.

Zenonie, jesteś cudowny!  
Masz fantastyczne wyniki!  
Lecz miej żdziebełko fantazji,  
raz w życiu kup mi goździki!

# Ramses Shaffy



**JOLANTA  
VAN GRIEKEN-BARYLANKA**

Porównywany do Jacquesa Brela jest uważany za największego holenderskiego artystę po II wojnie światowej. Jego „Pastorale” uznano w Holandii za piosenkę wszechczasów. Guru wolności, w którym w latach 60. ubiegłego wieku kochała się połowa Amsterdamu. Czy fenomen jego popularności tkwi w tym, że miał słowiańską duszę? I rzeczywiście był kuzynem rosyjskiego barda, Włodzimierza Wysockiego?

10 lat po śmierci Ramses Shaffy wciąż Holendrów inspiruje i zachwyca. Płyty z jego piosenkami rozchodzą się błyskawicznie. Ukazują się książki, wspomnienia, powstają filmy, seriale telewizyjne o jego życiu, musical cieszący się z wielkim powodzeniem, organizowane są koncerty. Ma też swoje pomniki, wydawane są biografie i albumy.

Był całkowicie holenderskim artystą z nie holenderskim sposobem życia i bycia. Szarmancki, melancholijny, śpiewał jak żył, żył jak śpiewał. W Holandii dzierży tytuł najbardziej charyzmatycznego aktora, trubadura, barda i... hulaki.



Ramses Shaffy fotografia z 1966 roku. Źródło: www.shaffy.nl

Ale niewiele osób wie, że artysta, o tak egzotycznym imieniu i nazwisku, miał w żyłach polską krew. To po matce Polce odziedziczył talent i słowiańską fantazję. Po egipskim ojcu, dyplomacie – magnetyczną osobowość. Jego biografowie są zgodni: życia Ramsesa nie trzeba romantyzować, bo nagie fakty są wystarczająco egzotyczne.

## Biografia jak z hollywoodzkiego filmu\*

Urodził się 29 sierpnia 1933 w Hôpital Americanin w Neuilly-sur-Seine, na przedmieściach Paryża. Jego matka, hrabina Aleksandra Teresa Wysocka, urodziła się we Lwowie. Była córką hrabiego Michała Wysockiego i Aleksandry Komorowskiej. Aleksandra Teresa podawała, że urodziła się 10 czerwca 1901 roku we Lwowie. Ale na akcie urodzenia Ramsesa widnieje inna data: 31 października 1897 roku. Ujęła więc sobie niemal 4 lata.



Dokument tożsamości Aleksandry Wysockiej z 1949 r. stwierdzający, że ma obywatelstwo radzieckie. Źródło: fot. historiek.net

Prowadziła frywolny tryb życia, a francuska policja podejrzewała ją o oszustwa i szpiegostwo. Mówiła, że nazywa się Olga Romanowa i jest córką ostatniego cara Rosji, która przeżyła rewolucję. Zapewniała, że to ona jest uprawniona do odzyskania klejnotów koronnych rodziny Romanowów, przechowywanych w Londynie. To poma-

gało jej wiązać się z mężczyznami, którzy byli wystarczająco bogaci, aby – do czasu przejęcia przez Teresę wielkiego spadku – mogli opłacać jej pobyt w Cannes.

Niedawno odnalezione listy potwierdziły, że Alexandra Thérèse Wysocka po rewolucji wyjechała do Egiptu, a potem przyjechała do Francji, mieszkała też w Belgii i w Szwajcarii. Na podstawie tych listów Sylvester Hoogmoed, czołowy biograf artysty, wydał niedawno kolejną książkę zatytułowaną „De Moeder van Ramses” (Matka Ramsesa).

Ojciec, Ramses Shaffy Bey, był egipskim dyplomata. O jego związku z matką Ramsesa krąży kilka wersji. Jedna z ich mówi, że Wysocka wyszła za Egipcjanina urodzonego w Paryżu, aby zdobyć francuski paszport. Ramses spotkał swego ojca po raz pierwszy dopiero pół wieku później. Shaffy senior miał już wtedy 93 lata.

Tuż po urodzeniu matka zabrała chłopca do Cannes. Zamieszkali w luksusowym hotelu na Lazurowym Wybrzeżu przy bulwarze Boulevard de la Croisette z widokiem na Morze Śródziemne. Ramses wspominał, że jako mały chłopiec wychodził wcześniej rano na plażę, ze swoją łódką i innymi zabawkami. Siedział tam już jego przyjaciel, stary człowiek, który nie miał jednej nogi. Dużo rozmawiali. Po tym rytuale chłopiec zaczynał poszukiwanie przygód.

W południe wracał do hotelu, by zjeść z matką obiad, po czym po raz kolejny wędrował na plażę i promenadę i szalał, pedałując w swoim dziecinnym srebrnym rolls royce. Już wtedy wzruszał kuracjuszy, kiedy w wieku czterech lat stawał na stole i śpiewał rosyjskie dziecięce piosenki, których wieczorem nauczyła go matka.

Czas bez troski i swobody wywarł ogromny wpływ na psychikę małego Ramsesa.

Kiedy Teresa piła na kredyt drinki w barze, nie interesowała się co robi jej syn, tak długo, jak pojawiał się w hotelu na posiłki. Była muzycznie uzdolniona, grała na fortepianie. Ramsesowi, do którego mówiła zdrobniale Didi, przekazała swoją miłość do muzyki, piękny głos i umiejętność gry na instrumencie.

Sielanka trwała pięć lat. W 1939 roku Teresa musiała iść na 3 lata do więzienia (Ramsesowi powiedziała, że zachorowała) za naruszenie nakazu deportacji z 1934 r. i użycie fałszywej tożsamości. Wysłała więc chłopca do swojej młodszej siostry, Marii Wysockiej-Smirnoff, która mieszkała w Holandii. „Pamiętam ją stojącą na stacji, zalaną łzami, a ja nie rozumiałem, dlaczego płacze, nikt mi tego nie

wyjaśnił” – żalił się w rozmowie ze swoim biografem, Sylvestrem Hoogmoed.

Ramses napisał później wzruszającą piosenkę „Pociąg na północ” (De trein naar het noorden): Stała bez ruchu/we łzach na peronie/kiedy byłem mały/w pociągu na północ/(....) Stoisz jeszcze przede mną/Na znikającym peronie/Gdyż Bóg nie wysłuchał naszej modlitwy.

Niespełna sześćoletni Ramses nie trafił jednak na długo do ciotki, która nawiasem mówiąc urodziła się w Warszawie, bo ta właśnie zachorowała i wujek Smirnoff zaprowadził go do domu dziecka. „Powiedział: po południu przyjdę po ciebie. Ale po jego oczach poznałem, że kłamie. Wylądowałem w luksusowym domu dziecka w Zeist, w którym bogaci Europejczycy zostawiali swoje dzieci. Zobaczyłem dzieci, które zdawały się mi gigantycznie wielkie, bo przecież miałem dopiero 6 lat, i rozmawiały w niezrozumiałym dla mnie języku. Zbuntowałem się. Rozpoczęła się moja wojna z Holandią” – mówił w wywiadzie dla tygodnika „Haagse Post” w 1968 roku.

Awersja do Holandii tkwiła w nim tak mocno, że kiedy w połowie lat sześćdziesiątych utracił egipskie obywatelstwo, wolał pozostać bezpaństwowcem. Dopiero po czterdziestce zdecydował się przyjąć holenderski paszport.

Dodatkowo dyscyplina panująca w domu dziecka nie pasowała do wychowanego w absolutnej wolności Ramsesa. Kilka razy uciekał, raz dyrektorze rzucił ziemniakami w twarz, niszczył drzewa, rozbijał szyby. Nic dziwnego, że w chłopcu było tyle agresji: po raz drugi w tak krótkim czasie został porzucony.

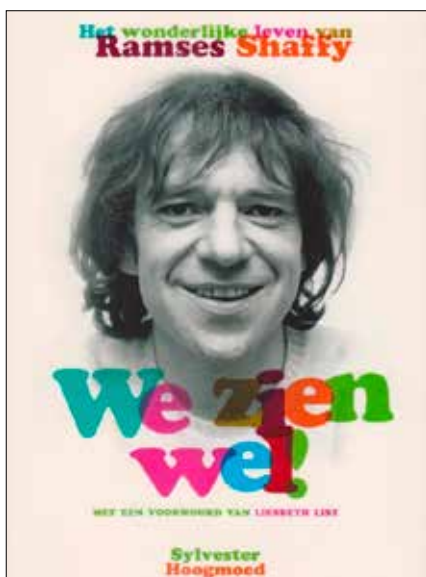
Na szczęście niebawem adoptowała go holenderska rodzina z Lejdy. Przybrany ojciec był profesorem, matka grała na fortepianie. W wielu wywiadach artysta przyznawał, że bez przybranych rodziców skończyłby w rzeszotku. Związał się z nimi tak bardzo, że kiedy po kilku latach rodzona matka przyjechała do Holandii, aby go zabrać, piętnastoletni wtedy Ramses odmówił.

Wyraстал w Lejdzie jako Didi Snellen. Był jednak tak niesfornym dzieckiem, że przybrany ojciec, w obawie by Ramses „nie skalał jego nazwiska” zdecydował, iż przybrany syn powróci do nazwiska Shaffy.

## Syn swojej matki

Utalentowany chłopiec trafił w końcu do szkoły teatralnej i z sukcesem występował na scenie renomowanej Nederlandse Comedie. Jego role stały się legendarne. Krytycy podkreślali, że klasycznym tekstom nadawał inny wymiar.

W 1964 roku założył w Amsterdamie własny teatr „Shaffy Chantant”, w którym promował młode talenty. „Shaffy Chantant” łamał wszystkie teatralne konwenanse. Naj-



Okładka książki o Ramsesie – pierwsze wydanie. Sylvester Hoogmoed, jest jednym z głównych biografów aktora. Wydawnictwo Prometheus Amsterdam, 2012 rok.

pierw w amsterdamskim Miranda Paviljoen, a potem w innych miejscach, recytowano i śpiewano poetyckie teksty. Ramses, który był niezmiernie muzykalny, potrafił stworzyć żywiołową atmosferę artystycznej wolności, doskonale wpisując się w ówczesny klimat Amsterdamu, miasta, które stało się w latach 60. symbolem kultury młodzieżowej, hippisowskiego ruchu i buntu dzieci kwiatów.

To w jego teatrze debiutowała znana w Holandii piosenkarka Liesbeth List. Tutaj swoje pierwsze kroki stawiał Thijs van Leer. Słynny flecista, znany z progresywnej grupy rockowej „Focus”, po śmierci Ramsesa mówił, że Shaffy «to największy holenderski piosenkarz, wielki aktor i wspaniały kompozytor». Mówi się o nim, że to artysta, który w swoich pieśniach łączył Brela z Sinatra, okraszając ich nutą Rachmaninowa ze szczyptą słowiańskiej melancholii.

Jego egzystencjonalne piosenki o miłości, przyjaźni, ludzkich ułomnościach, jak Pastoraal, Sammy, Śpiewaj-walcz-płacz-módl-się-śmieję-pracuj-i-podziwaj (Zing-vecht-huil-bid-lach-werk-en-bewonder) czy Nie poddamy się, (Wij zullen doorgaan) weszły do klasycznego repertuaru, zna je niemal każdy Holender.

Ale Shaffy nie dał się zasufladkować. Prowadził burzliwe życie, które od samego początku dalekie było od bajki. Znane są anegdoty o jego kawiarnianym życiu, nocnych imprezach. Odpalał papierosa od papierosa, przez wiele lat wypijał co najmniej butelkę wódki dziennie. Uzależnił się prawie od wszystkiego, od czego człowiek może się uzależnić. Przede wszystkim od życia. Stał się ikoną niepohamowanej żądzy życia. Nie uznawał kompromisów. Wypiewał to w bardzo osobistej piosence

„Daj mi spokój” (Laat me), przekonując, że mimo bezcelowego życia, korzystania z niego, niczego nie żałuje i nadal będzie tak żył i nie chce nikogo słuchać.

Był charyzmatycznie nonszanlancki, a jego intymny teatr krytycy opisywali jako romantyczny, wyrafinowany, zanurzony w atmosferę, żywiołowy. „To była sensacja. Shaffy zaprezentował nam poetycki kabaret, którego dotąd nie znaliśmy, z własną formą, własnym brzmieniem. Cały elegancki świat Amsterdamu przyszedł go oglądać. Pojawiła się nawet księżniczka Beatrix” – wspomina Sylvester Hoogmoed w biografii artysty.

W latach 70. wciąż dawał wspaniałe koncerty, aż w końcu na długie lata zamilkł, zmagając się z chorobą alkoholową. Zmarł 1 grudnia 2009 roku.

W jednym z wywiadów Ramses Shaffy powiedział, że jest krewnym rosyjskiego barda Włodzimierza Wysockiego. „Moja ciotka nazywała się Wysocka i to jest ta sama rodzina. Mam kilka jego płyt, ale ubolewam, że go nigdy nie spotkałem” – mówił do dziennikarza w 2004 roku.

Czy naprawdę był z Wysockim spokrewniony? Kiedy ogląda się zdjęcia artysty z lat młodości, podobieństwo do rosyjskiego „kuzyna” jest rzeczywiście uderzające. Tak jak ich życie i twórczość były zdumiewająco podobne. I choć dotychczasowe badania genealogiczne nie potwierdzają pokrewieństwa, to na pewno można mówić o pokrewieństwie dusz. I podobnie jak Włodzimierz Wysocki, także Ramses Shaffy po śmierci wciąż zachwyca i inspiruje. A jego biografia aż się prosi o hollywoodzką ekranizację!

O tym, jak ważny to dla Holandii artysta świadczy fakt, iż pozostawione przez niego rękopisy, listy, zdjęcia, rysunki i obrazy, nagrania i nagrania taśmowe, kostiumy, książki programowe, a nawet fortepian, na którym Shaffy skomponował wiele swoich piosenek, trafiły jako kolekcja specjalna na uniwersytet w Amsterdamie. „Ramses Shaffy był nie tylko świetnym aktorem i piosenkarzem, ale także wzbogacił literaturę holenderską swoimi pięknymi piosenkami. To ważne dziedzictwo kulturowe i jesteśmy dumni, że możemy nim zarządzać w kolekcjach specjalnych” – powiedział główny kurator kolekcji Garrelt Verhoeven. ■

\* Na podstawie książek: 1. Sylvester Hoogmoed, Zobaczmy. Zdumiewające życie Ramsesa Shaffy” ego. (We zien wel! Het wonderlijke leven van Ramses Shaffy), Prometheus, 2011; 2. Ramses Shaffy i Sylvester Hoogmoed, Jesteś mi tak drogi (Jij bent mij zo lief), Gent, 2009. Jest to uzupełniona i zaktualizowana wersja tekstu, który po raz pierwszy opublikowałam w 2013 roku w wychodzącym we Lwowie „Kurierze Galicyjskim”. Więcej, także po angielsku, na stronie internetowej: www.shaffy.nl/

# „Magiczny, świąteczny czas, gdy wszystko jest możliwe...”

prace literackie uczniów Szkoły Polskiej przy Ambasadzie RP w Hadze



**TOMASZ MICHALSKI, KL. 5B**

## Święty Mikołaj i zagubiony Elf

Był 24 grudnia. Jak co roku jechałem saniami ze świętym Mikołajem. Robiłem to już tyle razy, że stało się rutyną. A jak wiadomo, rutyna może doprowadzić do zguby. I tak się stało! Otóż wypadłem z sań, a Mikołaj tego nie zauważył i poleciał dalej. Niespodziewanie wpadłem do jakiegoś domu przez komin. W pierwszym momencie pomyślałem, że spałem się

zycwem, ale ostatecznie upadłem na twarde, spalone drewno. Chyba się uderzyłem w głowę, bo dopiero po jakimś czasie doszedłem do siebie. Wtedy też zobaczyłem przez szybę kominka ludzi siedzących przy stole. A na stole znajdowało się dużo wspaniałych świątecznych potraw i dań. Wszyscy byli elegancko ubrani oraz uśmiechnięci. Kątem ucha usłyszałem, że składają sobie życzenia i dzielą się opłatkiem. Zauważyłem też, że dziadek kieruje się w moją stronę i podnosi szybę chroniącą kominek. Postanowiłem więc szybko wyskoczyć i schować się pod najbliższą szafkę, na której stała betlejemska szopka. Dziadek rozpałił ogień, co przyciągnęło wszystkie dzieci, które usiadły w kółku, pijąc ciepłą czekoladę.

Po jakimś czasie moja uwagę przykuła rozmowa dwojga z nich:

– Nigdy już nie polubię świętego Mikołaja!

– Ja też, prezenty powinny już tu dawno być.

– A może o nas zapomniał?

– Nie bójcie się aniołki, Mikołaj nigdy o was nie zapomni – powiedziała babcia, która właśnie zaczęła przysłuchiwać się wnuczkom.

Wtedy usłyszeli pukanie do drzwi. Rodzice popatrzyli po sobie nerwowo. Przecież wszyscy goście już dotarli! Gospodarz domu wstał i niepewnym krokiem ruszył ku drzwiom. Kiedy naciskał klamkę, cała rodzina zastygła w bezruchu.

– To on! – krzyknęło najmłodsze z dzieci uradowane widokiem świętego Mikołaja.

Z wrażenia wyskoczyłem z mojej kryjówki, pobiegłem do drzwi i schowałem się za znajomym świętym.

– Przepraszam wszystkich za zamieszanie, ale w trakcie dzisiejszej podróży zgubiłem mojego najcenniejszego elfa – zaczął tłumaczyć się starszy pan z białą brodą – Z tego powodu wasze prezenty nie zostały dostarczone na czas. W zamian za cierpliwość do waszych podarków dołączam magiczny proszek służący do latania.

Mikołaj położył duży brązowy worek u stóp gospodarza, wziął mnie za rękę i z nim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, wsiedliśmy w sanie podążające ku Laponii.



**ALEKSANDRA KOZŁOWSKA, II LO**

## O czym huczy w Śnieżynkowie? – fragment opowiadania

Daleko, daleko, wśród śniegu i lodu, gdzieś na Biegunie Północnym leży wioska. Od wieków dwa mieszkające w niej rody, Gburi i Zolżikiewiczowie, toczą ze sobą wojnę. Wioska jest podzielona na dwie części, a granicę wyznacza dzwon, który bije tylko wtedy, kiedy rody wyruszają na cotygodniową bitwę pomiędzy sobą. Walczą wtedy o władzę nad całą wioską.

Jak można łatwo zauważyć, Śnieżynkowo, mimo swojej bardzo przyjaznej nazwy, nie zachęca swoją atmosferą do odwiedzin przez turystów. Przekonać miał się o tym pewien młody chłopak z wielkimi ambicjami. Kto wie, może jego inne podejście odmieni życie wioski?

Dzień zaczynał się zwyczajnie. Piotrek odpuścił sobie dzisiejsze szkolenie w Akademii Pocztowej. Nie miał ochoty wysłuchiwać narzekania ze strony „wykładowców”, o ile tak można nazwać ludzi, którzy uczą Cię, jak składać listy, przybijając stempelki a potem, jak włożyć je do koperty. To monotonne zajęcie nie interesowało młodego blondyna, który zamiast tego wolałby teraz leżeć w wygodnym łóżku wyścielonym jedwabną pościelą. Chłopak smacznie spał na swojej pryczy, kiedy nagle zbudziła go mysz przebiegająca mu po twarzy. Przerażony Piotrek zaczął wierzgać i wrzeszczeć.

–Ohyda! – wrzasnął z obrzydzeniem. –Okropność! Też wymyślił mi ojciec Akademii Pocztową, a chciałem być marynarzem, mieć tatuże... Ale nie!

„Idziesz do naszej Akademii Pocztowej, będziesz listonoszem jak Twój pradziadek, dziadek, ojciec, a kiedy osiągniesz odpowiedni wiek i doświadczenie będziesz przykładem dla nowych rekrutów i zasiądziesz na zarządzającym krześle naszej Akademii!” – ciągle powtarzał mu ojciec.

–Rekrucie Smith! – usłyszał nagle donośny głos sierżanta.

–Uszanowanko Panie Sierżancie! Jak Panu mija poranek? – zapytał Piotrek, uśmiechając się szarmancko.

–Niech mi lepiej rekrut powie, dlaczego nie stawiał się na wykładzie ze stemplowania! – odpowiedział mu Sierżant.

Piotrek wstał, poprawił koszulę nocną w kolorze jasnego beżu, ozdobioną na rękawach złotymi paskami.

–Drogi Sierżancie, nie sądzisz, że każdy żółtodziób jest w stanie wylać na kopertę odrobinę wosku i umiejętnie przyłożyć do niej stempel? – zapytał lekko podirytowanym tonem.

Sierżant skrzyżował ręce na piersi.

–Owszem, każdy żółtodziób by to umiał, ale Ty masz najgorsze wyniki w całej Akademii! Pan dyrektor Cię wzywa.

Blondyn głośno przełknął ślinę...

Szli długim korytarzem, którego ściany były koloru granatowego. Ozdabiali je obrazy różnych listonoszy ze złotymi odznakami na piersi. Smith włókł się ze spuszczoną głową ze wzrokiem wbitym w swoje puchate kapcioszki. Po paru minutach znaleźli się przed wielkimi, złotymi drzwiami.

–Na Twoim miejscu, obmyślałbym plan ucieczki- powiedział szeptem Sierżant i otworzył drzwi.

W pokoju stał mężczyzna, odwrócony do nich plecami.

– 85 procent nieobecności, egzaminy oblane, gołębie pocztowe z połamanymi

skrzydłami, wykładowcy oburzeni, ba! Dostałem cztery wypowiedzenia! Wszystko to wydarzyło się w przeciągu pół roku, Piotrze...

Mężczyzna odwrócił się, miał gęstą, ładnie przystrzyżoną brodę oraz kruczne włosy ozdobione pasmami siwizny. Piotrek podniósł głowę.

–Dokładnie tak tato, czyż to nie jest znak, abym mógł wrócić do domu i odmaszerować do Szkoły Marynarskiej? – wyłożył chłopak z teatralnym przejęciem.

Mężczyzna oparł się dwiema rękami o biurko i zacisnął mocno dłonie na jego brzegu, aż do zbladnięcia kostek. Jego twarz przybrała surowy wyraz, nie mógł uwie-

rzyć, że jego syn jest aż tak niekompetentny. Czuł zawód, westchnął przeciągle, po czym podszedł z powrotem do okna. Skrzyżował ręce na plecach i błdził wzrokiem po placu, gdzie ćwiczone jazdę konną. Nie chciał być dla swojego syna aż tak wymagającym i surowym ojcem, ale niestety, sytuacja wymagała drastycznych środków.

– Piotrze Samuelu Wojciechu Smith, od teraz zostajesz listonoszem na pełnym etacie.

Młodzieniec już chciał coś powiedzieć, ale ojciec kontynuował:

– Daję Ci rok na wysłanie 6000 listów, dostaniesz zakwaterowanie w...

Tu przerwał, odwracając się w jego stronę. – Wysyłam Cię do Śnieżynkowa.



JULIA BORKOWSKA, KL. 5A

## Historia, która wydarzyła się w Boże Narodzenie

Wielkimi krokami zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Mimo przedświątecznej, radosnej atmosfery Marysia była wyjątkowo smutna. Jej tata pracował za granicą i nie zapowiadało się, jak co roku, aby wrócił na Święta, a mama musiała dłużej zostać w sklepie.

Kiedy opiekunka dziewczynki drzemała w fotelu, Marysia postanowiła sama ustroić choinkę. Myślała, że udekorowane drzewko poprawi jej nastrój. I rzeczywiście, gdy rozbłysły kolorowe lampki, a bombki i łańcuchy zaczęły błyszczeć, poczuła się lepiej. Jednak na krótko, bo zaraz zatęskniła za rodzicami. Założyła więc kurtkę i wyszła przed dom.

Na dworze było już ciemno i zimno, ale nic nie zapowiadało, by spadł śnieg.

– Nawet śniegu nie będzie! – Marysia westchnęła z żalem, bo zdawało się jej, że Święta bez śniegu, to nie Święta.

Kiedy spojrzała w granatowe niebo, zobaczyła mnóstwo gwiazd. Naraz poczuła się malutka, maciupieńka, jak jedna z tych gwiazdek tam wysoko.

Właśnie zamierzała wrócić do domu, gdy usłyszała czyjś ciepły, aksamitny głos.

– Dobry wieczór – powiedział ktoś.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że przed nią stoi jakaś postać. Był to wysoki mężczyzna, ubrany w długi do ziemi ciemny płaszcz.

– Co robisz tutaj o tej porze? – zapytał.

– Nie pieczesz ciasteczek i nie lepisz uszek z grzybami? Przecież już jutro Wigilia.

– Nie cierpię Wigilii! – krzyknęła Marysia.

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem tajemniczy mężczyzna.

– Tak, bo rodzice są ciągle zajęci albo nie ma ich w domu, podczas gdy inne dzieci spędzają czas z rodzicami.

Tajemniczy Pan popatrzył na Marysię i wręczył jej prezencik. Było to małe czerwone pudełeczko, a w nim srebrny wisiorek z gwiazdką. I nagle zniknął, nawet nie wiadomo kiedy.

– Gdzie Pan jest?! – zawołała zdziwiona dziewczynka. – Dziękuję!

Marysia założyła starannie naszyjnik na szyję, rozejrzała się wokoło i poczuła na twarzy oraz nosie duże płatki śniegu. Od razu zrobiło jej się weselej, a smutek i żal w sercu znikł.

Nagle niebo pojaśniało, a dookoła zaczęły tańczyć wróżki, elfy i rusałki...

Marysia znalazła się w krainie skrzatów, w krainie, w której wszyscy są szczęśliwi, a życie płynie wolnym i spokojnym tempem.

Niestety, od ostatniej Wigilii zaczęło usysać Święteczne Drzewko i nikt nie znał prawdziwej przyczyny. Skrzaty jedynie domyślały się, że to pewnie za sprawą pięknej gwiazdki, która jeszcze niedawno lśniła na czubku drzewka, a która w tajemniczych okolicznościach zniknęła. Od tej pory drzewko zaczęło usysać i nie było już takich magicznych świąt Bożego Narodzenia jak dawniej.

Marysia, znalazłszy się w nieznanym, ale bajecznej krainie, początkowo czuła się nieswojo. Kiedy jednak spotkała pierwsze skrzaty, które ją gościnnie powitały, od razu zapałała sympatią do nowego miejsca. Mieszkańcy krainy okazali się bardzo rozmowni. Powiedzieli Marysi, że tylko ona może uratować Święteczne Drzewko, bo ma na szyi łańcuszek ze srebrną gwiazdką.

Jeden ze skrzatów poprosił dziewczynkę, aby podarowała i zawiesiła gwiazdkę na czubku usychającego drzewka.

– Nie mogę jej oddać i nie chcę! – powiedziała rozkapryszona dziewczynka. Ale kiedy zobaczyła smutne i nieszczęśliwe miny mieszkańców krainy, w której już nigdy nie będzie Świąt, serce jej zmiękło i postanowiła uratować drzewko.

Ledwie dziewczynka zdjęła z szyi wisiorek, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, drzewko zaczęło ożywać. Mieszkańcy krainy nie posiadali się z radości, a dziewczynka była z siebie dumna.

Nagle... znów stanęła przed swoim domem, trzymając w ręku czerwony rozpakowany prezencik od nieznanego. Po chwili powędrowała do środka, zastając opiekunkę nadal drzemającą w fotelu. Szybciutko ubrała piżamę i wskoczyła do swojego ciepłego łóżeczka, zastanawiając się, co teraz robią skrzaty i... zapadła w głęboki sen.

Nazajutrz, otworzywszy oczy, jakaż była jej radość, gdy ujrzała oboje rodziców siedzących obok jej łóżka. Dziadkowie także przyjechali na Święta z workiem pełnym prezentów. Jedzono potrawy wigilijne, dzielono się opłatkiem i śpiewano kolędy. Był też Mikołaj.

–Dlaczego mówiłam, że nie lubię Wigilii? – pomyślała Marysia. Przecież ja uwielbiam święta Bożego Narodzenia. Są takie radosne i magiczne, bo spędzam je z bliskimi.

# Lustro



**ALEK SILBER**

Wyjątkowo cicho jak na tę porę, ale ta cisza nie potrwa długo. Londyński pub w sobotę wieczorem nie może być pusty, a jak pub, to oczywiście i toalety. Ale może najpierw kilka słów o sobie.

Swoje życie rozpocząłem w Yorkshire, gdzie znakomity miejscowy szklarz wyprodukował mnie na zamówienie dla zamku Caemarfon w Walii. Miałem wtedy piękną pozłacaną ramę, cięte brzegi i umieszczony byłem w centrum Wielkiej Sali zamku. Niestety bliskość morza nie sprzyjała mojemu zdrowiu. Po kilku latach zaczęły pojawiać się ciemne smugi i postanowiono mnie sprzedać. Przewieziono mnie na aukcję aż do Londynu, gdzie kupił mnie właściciel pubu. Był bardzo dumny z zakupu, więc umieścił mnie na głównej ścianie sali. Widok miałem wspaniały, zwłaszcza dawniej: eleganckie damy, dzentelmeni w surdutach. Aż pewnego wieczoru gościła w pubie drużyna piłkarska, chłopcy popili, zaczęła się bijatyka, w ruch poszły kufle i krzesła. Jedno z nich poszybowało przez pół sali, aż wylądowało na mnie. Z wielkiego lustra zachowała się jedynie połowa. Właściciel niemal popłakał się z żalu. Lustro kazał przyciąć, zmienił ramę i zawiesił mnie w... toalecie. Ludzie właściwie ci sami, gorzej z widokiem, no i... z zapachami. Ale właśnie ktoś wchodzi. Ach, to starzy znajomi, regularni bywalcy. Zawsze ten sam schemat: najpierw zamkną drzwi na klucz, potem będzie zażywanie i gaduły...

— Mark, masz proch?

— Chwileczkę, spoko, bez takich nerwów. Steve, zamknij drzwi.

A nie mówiłem?

— Na klucz?

— Nie, na słowo honoru.

Mark wyjął z kieszeni pudełko od zapalek i wysypał pigułki na blat. Steve wziął jedną i połknął, popijając wodą. George chwycił dwie.

— Hej, hej, koleś, nie pomyliłeś się? — wstrzymał go Mark.

— Dopłacę.

— Nie o to chodzi. Na imprezę nam nie starczy.

— Weźmiemy od Nicole, ona zawsze ma zapas. Muszę mocno dać, mam powody.

— Co, żenisz się?

— Wręcz przeciwnie, w niedzielę zerwałem z Karen.

George był wyraźnie przejęty. Kolegów zatkalo. Przyznam się, że mnie też. Jeszcze nie tak dawno mówił, jak bardzo ją kocha i że bez niej nie mógłby żyć. Widać mężczyzna zmienny jest. Czy to chodziło o kobietę?

— Coś ty, po tylu latach? Ile to czasu? — zapytał Steve.

— Pieprzy. — Mark uśmiechnął się z poślazaniem.

— Powaga. — George przechylił głowę, polykając pigułki.

— A o co poszło? — nalegał Mark.

— Nic, po prostu Karen już od jakiegoś czasu nalegała, że chce mieć dom, dzieci...

— Męża też?

— I męża.

— Baby takie są — podsumował filozoficznie Mark.

Amerykę odkrył.

— To zależy — wtrącił Steve.

— O, ekspert się znalazł.

— George, możemy sobie podać ręce, u mnie też kapliczka.

— No nie, też skończyłeś?

— Nie ja, Diana.

— Jak to?

— Po prostu, zdecydowała, że odnalazła siebie...

— A co, zginęła?

— Nie o mnie chodzi, ja jestem w porządku, nawet mnie lubi...

— Nie może być.

— Tylko że ja jestem nie tej płci, Diana doszła do wniosku, że preferuje panie. Nawet już znalazła partnerkę i jest bardzo zadowolona.

— Teraz taka moda — wtrącił George. — Chociaż to nic nowego, osobiście wolę konwencjonalną relację chłopaka z dziewczyną. Ale nawet starożytni uważali to za bardziej naturalne. Niedawno zwiedzałem grobowce Etrusków. W jednym z nich po dwóch stronach urny były na ścianie dwa freski. Na jednym mężczyzna uprawiał seks z kobietą, stojący obok byk patrzył na nich pogodnie. Na drugim mężczyzna, no wiecie... z drugim facetem, a byk z niechęcią odwrócił głowę.

Koledzy zamilkli. Dopiero po jakimś czasie Mark wydukał: „o kurwa” i wolnym ruchem schował resztę pigułek do pudełka.

— Chodźcie, to trzeba zalać.

Nawet ich lubię, zwłaszcza George'a, to miły chłopak. Tylko ten Mark gra mi na nerwach, ciągle się wymądrza, szpanuje, ubiera się jak menel i na dodatek cały się wytatuował. Nawet dzisiaj zauważyłem nowy motyw, na lewym ramieniu ma dzika z kłami. W kolorze. Jeszcze to wszystko mógłbym mu wybaczyć, takie czasy, ale ta perła w języku przyprowadza mnie o mdłości. Już pomijając, jak to musi drażnić język, to widok tego po prostu mnie odrzuca. Chociaż nic mnie tak nie bulwersuje jak ci ze strzykawkami. Kiedy przychodzą, to już mają obłęd w oczach, potem wyciągają te chude podziobane ramiona i walą igłę. Gdybym się mógł odwrócić albo zamknąć oczy, ba.

Pewnie bym ich w ogóle nie otwierał, bo na co tu patrzeć. Mody zawsze się zmieniały: po długich sukniach krótkie, potem znowu długie, spodnie szerokie, to znowu wąskie, brody, wąsy. Tak jak w sztuce, w myśleniu: nowy kierunek obalał ten poprzedni. Wszystko to mogę zaakceptować, ale teraz moda zaprzecza podstawowym prawom estetyki, bo spocone ciało, podarte ubranie i rozsznurowane buty są po prostu niechlujne i brzydkie. Albo już jestem za stary. Nie mogę zamknąć oczu, toteż gdy stoją przede mną te maskary, próbuję ich widok zagłuszyć wspomnieniami.

Przychodzili kiedyś młodzi chłopcy, schludnie ubrani, lekko wystraszeni, wyciągali z tylnej kieszeni zmięte papierosy i przypalali. Pamiętam, jeden nawet zakładał rękawiczki, żeby nie pozostawić śladu nikotyny. Sztachali się nieudolnie, krztusili się, ale to był szpan. Przechwalali się, który pocałował dziewczynę, starsi opowiadali, jak w kinie chwycili dziewczynę za pierś albo podglądali w żeńskiej toalecie. Młodzi słuchali z rozdziawionymi gębami. Kiedyś jeden z nich wykradł od rodziców książkę Małżeństwo doskonałe. Stanęli wokół niego, pochylając się nad pożółkłymi rysunkami, które wtedy były szczytem pornografii, a dzisiaj pewnie pokazuje się przedszkolakom. Czasem frajdę przerywało łomotanie do drzwi, wpadała babcia klozetowa i miotłą przeganiała całe towarzystwo. Uciekali z zadymionego kibla z głośnym śmiechem.

Drzwi się otwierają i wchodzi młoda kobieta. Pewnym krokiem podchodzi do umywalki (i do mnie), więc mogę się jej bliżej przyjrzeć. Jest wysoka, postawna i bardzo elegancka. Kładzie na blacie małą torebkę, wyjmując jakieś przybory: puder, perfumy, szczotkę do włosów... Kiedy przybliży swoją twarz, widzę wyraźniej jej delikatne rysy, gładką cerę, gęste pukle włosów. Niejedną twarz wpatrywała się we mnie, ale ta jest wyjątkowej urody. Kobieta sprawnie-



mi ruchami maluje usta, pudruje nos, maluje rzęsy. Potem cofa się, poprawia sobie dekolt, obciąga sukienkę. Nie mogę wyjść z podziwu. Ona chowa kosmetyki, sprawdza, czy dobrze zamknęła drzwi, wchodzi do kabinki z sedesem i staje tyłem do mnie. Nagle podnosi sukienkę do góry, odsuwa na bok majtki i zaczyna sikać. Przyglądam się bliżej, może mam halucynacje? Wytężam wzrok, ale się nie myślę: „ona” sika, stojąc.

Och, gdybym mógł stąd uciec, zapaść się pod ziemię albo co najmniej zamknąć oczy. Ale nie mogę. Może już czas, żeby mnie stąd wzięli, może mogliby mnie umieścić w przedszkolu, tam powinno być spokojniej. Może jestem zbyt surowy? Może zawsze tak było? Patrząc na świat poprzez Wielką Salę zamku Caernarfon, nie byłbym w stanie tego dojrzeć, ubrania były obfitsze, no i... nikt na sali nie sikał.

Wreszcie toto wychodzi, a po chwili od drzwi dochodzi łomot: otwierają się, potem zamykają i ponownie otwierają. Jakiś facet zмага się z wózkiem, w którym siedzi jego kolega.

— Dobrze, Roland, żeś mnie wyciągnął — powiedział Greg. — Wymagało to trochę wysiłku, ale teraz się cieszę, bo nieczęsto wychodzę z domu. Tu mnie postaw, w kabinie.

Greg wjechał do kabiny dla inwalidów, a Roland wszedł do normalnej. Tego Grega to ja skądś znam. Twarz mi kogoś przypomina, gdzie ja go widziałem? Ależ oczywiście, to jeden z piłkarzy, przychodził tu, kiedy jeszcze wisiałem na sali. Boże, jak on się zmienił. Przecież to był kawał chłopca: silny, muskularny, czupryna długich włosów, zawsze modnie ubrany w najlepsze ciuchy. Był kapitanem drużyny, miał charyzmę, przyciągał ludzi. Zawsze w towarzystwie pięknych kobiet, w gronie kolegów z drużyny.

Teraz skurczył się, zmałał, stary kaleka z butlą moczku przytroczoną do nogi, na лысеj głowie jakieś ciemne plamy. Mówi niewyraźnie, trudno go zrozumieć. Ubrany w stare szmaty: pognieciony sweter, nieświeże spodnie od dresu i łapcie. Roland podsunął wózek do umywalki.

— Ja też nieczęsto wychodzę, nadal mieszkam w swoim gospodarstwie.

— Ciągle sam?

— Wiesz, że lubię samotność, chociaż teraz czasami mnie dołuje. Bywa tak, że przez kilka dni do nikogo nie otwieram ust.

— Ostrzegalem cię...

— Kiedyś mi to nie przeszkadzało, ale teraz przyznaję ci rację.

— Nie próbowałeś znaleźć sobie jakiejś kobiety?

— Słuchaj, Greg, po dwóch rozwodach, a de facto trzech, człowiekowi się trochę odechciewa. Baby mnie nie interesują.

— W ogóle?

— Kompletnie. Ta sfera życia jest dla mnie zamknięta, mogliby mi małego uciąć.

— Ale samotność to straszna plaga, może zniszczyć człowieka.

— Wiem, już od kilku lat chodzę do psychologa i jestem na antydepresantach.

— I pomagają?

— Trochę, ale ciągle jestem śpiący. Ach, nie powiedziałem ci, że cierpię na bezdech senny.

— Kiedyś o tym wspominałeś.

— Tak, ale teraz to się bardzo pogorszyło, dwie godziny ciągłego snu to maksimum. Nic dziwnego, że rano wstaję zmęczony. Słowem: nieciekawie. A jak ty?

— Sam widzisz: wózek, początki parkinsona, problemy z nerkami, słuch, oczy... Dnia nie starczy, żeby wszystko wylczyć.

— Kiepsko. A ile masz lat?

— W przyszłym tygodniu kończę siedemdziesiąt pięć.

— Gratulacje.

— Chyba żartujesz.

— Z tą starością coś Stwórcy nie wyszło. A może za długo żyjemy? Mój stary umarł na zawał w wieku sześćdziesięciu dwóch lat.

— Może tak i lepiej, ciach i po wszystkim. A teraz podtrzymujemy się pigułkami, ale czy warto? Tak źle i tak niedobrze. Właściwie co to za życie: książek nie mogę czytać, bo mnie bolą oczy, przy telewizorze momentalnie zasypiam, szlag by to trafił. — Greg spuścił głowę.

— Akurat tutaj nie masz czego żałować, zwłaszcza wiadomości: jak nie tsunami, to powódź albo pożary lasów, trzęsienia ziemi. Do tego człowiek dorzuca: globalne ocieplenie, polityczny chaos, mafie, wojny, atomy, miliony uchodźców, terroryści... Tylko czekać, kiedy zaczną się rodzić dwugłowe cielaki i zawyją trąby. Czasami myślę, że może już lepiej odejść i nie widzieć tej apokalipsy. Kto wie, czy któregoś dnia to wszystko nie rozpieprzy się w cholere. — Roland zrobił gest olbrzymiego wybuchu.

— Pociesz się, że wieki temu też tak myślano, wtedy był głód, plagi, długoletnie wojny, ludzie klepali ostatnie zdrowaśki, a Ziemia ciągle się kręci.

— To prawda, ale horror i rozmiar katastrof powiększają się.

Nastąpiła chwila ciszy, Roland cofnął się, przyglądając się koledze, jakby go pierwszy raz zobaczył.

— Oj Greg, a ja pamiętam, kiedy szedłeś jak burza, awansowałeś do pierwszej ligi, byłeś w rewelacyjnej formie: w klubie najszybszy na setkę, podnosiłeś sto kilo.

— Sto dziesięć.

— Chodziłeś na rękach, robiłeś salta na drążku, żeby teraz... Rozumiesz coś z tego?

— Niezupełnie.

— Bo ja na ten temat dużo myślałem i powiem ci, że to wszystko jest bardzo proste. Takie jest życie: chwytą młodego, pełnego nadziei człowieka i niczym wielki magiel wyzima go, przekręca i wypluwa zużyty wrak. To jest oczywiście scenariusz natury. Ją tylko interesuje zachowanie gatunku: spłodzić, odchowac, postawić na nogi, a potem niech się dzieje, co chce. Tak jest z kwiatem, wiewiórką, słoniem. Oczywiście nie może być inaczej, a jednak to boli. Człowiek usiłuje z tym walczyć, niektórym się udaje. Niestety, nie nam.

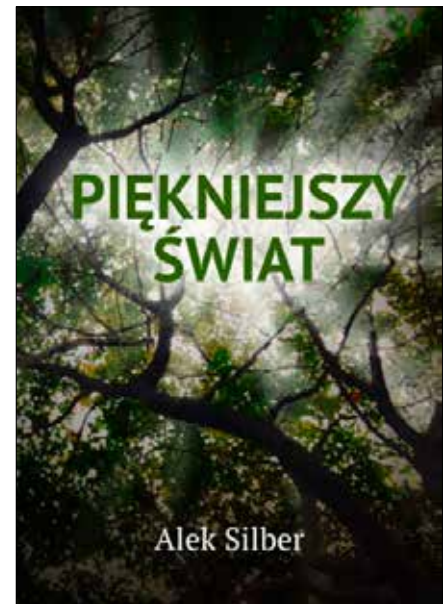
Greg uśmiechnął się, uniósł się w wózku i nastawił pięść, Roland wysunął swoją pięść do stuknięcia.

— Ale póki my żyjemy!

*Fragment opowiadania z tomiku „Piękniejszy świat”. Książka dostępna w internecie, [https://ridero.eu/pl/books/piekniejszy\\_swiat/](https://ridero.eu/pl/books/piekniejszy_swiat/)*

## Recenzja

Opowiadania Alka Silbera, to teksty nie mające sobie podobnych. Ich dykcja i ich sens dzieją się w prozie, której do tej pory nie smakowaliśmy. Ich aura jest „gesta” i zawieszona w klimatach osobliwych. Wyobraźnia Autora jest rewelacyjna, ale co ważne – przekonująca. Oto ten sam świat, ale jakże inny!



Cały ten zbiór czyta się jednym tchem. Silber ma niesłychaną wyobraźnię i znajomość świata. Jego opowieści toczą się albo w realu, albo w wyobraźni, lecz są tak „magnetyczne”, że nie sposób się od nich odebrać. Dzieją się w „osobliwym pejzażu”. Ta proza nie da się porównać z żadną inną, jest niepowtarzalna!

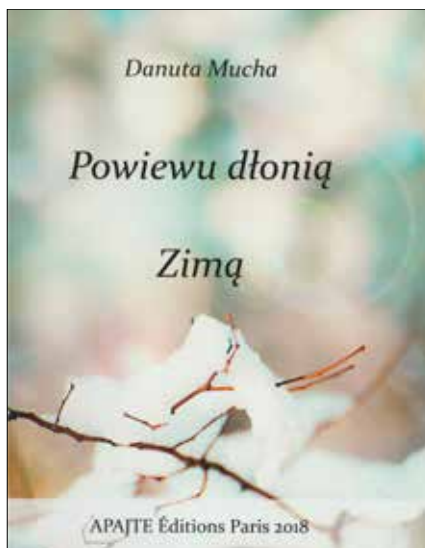
**LESZEK ŻULIŃSKI**  
POETA, PISARZ I KRYTYK LITERACKI

# Pochwała istnienia

Fragment recenzji tomu poetyckiego: „Powiewu dłonią Zimą” Danuty Muchy

## DANIELA EWA ZAJĄCZKOWSKA

Tom „Powiewu dłonią Zimą” jest jednym z licznych dorobku publikacji poetyckich dr hab. Danuty Muchy, profesor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego i pierwszym z cyklu „Powiewu dłonią”. Zbiory ukazały się nakładem APAJTE Editions Paris, obchodzącego właśnie 25. rocznicę istnienia. Ten nosi tytuł „Powiewu dłonią Zimą”, i rozpoczyna czteroksiąg, nawiązujący do pór roku. Warto więc widzieć w nich współgrające ze sobą elementy zwartej kompozycji, chociaż stanowią odrębne całości, różniące się kolorystyką i nastrojem. Nasuwa to skojarzenie z formułą muzyczną „Cztery pory roku” „Antonio Vivaldiego (...) Pory roku są w tej poezji obrazami rytmów przyrody i cykliczności istnienia. (...) Autorka odmalowała niezwykle spokojną i wspaniałą. Ukazała także jej chaotyczną, wręcz radosną witalność, przywołując związane z tym okresem roku emocje i uczucia.



Danuta Mucha, Powiewu dłonią Zimą, APAJTE Editions, Paris 2018

Impresyjność melodii i obrazów w liryce Danuty Muchy sprawia, że możemy odczuć ulotność chwili, a przede wszystkim jej piękno. Wrażenia estetyczne i uczuciowe nie



Danuta Mucha

wykluczają też refleksji, albowiem egzystencjalny i metafizyczny namysł jest efektem finalnym niezwyklej przeżyć tego szczególnego dotknięcia tajemnicy.

Danuta Mucha,

## **Powiewu dłonią Zimą.**

Wiersze. Wybór

\*\*\*

na drodze polnej  
na bieli drzew  
okno dogania  
motyli śpiew  
za kroplę  
ciszy  
za śpiew  
i za dal  
znad  
okien  
przyśni się  
śnieżna  
mgła

\*\*\*

dotykem bieli  
w ogrodzie tchnień  
w dokoła  
bielą  
ustaną  
biel

nie słowem

lecz ciszą  
słowika  
śpiew  
- śnieg  
znów  
zanucił  
swój  
biały  
trel

\*\*\*

okiem miłości  
bieli do dnia  
śnieg za to  
przywdział  
już biały  
płaszcz  
przez ciche  
dale  
zza bieli  
fal  
cichnie

biel brzozy

- za oknem  
dal

\*\*\*

to biel  
czy  
snu  
płowy  
śląd

przemyte  
okna  
bielą barw

za tchnień  
białych mową  
za bielą biel  
- już tylko zieleń  
dosięga  
tchnień

**28**  
**2020 FINAŁ**

wielka orkiestra  
świątecznej  
pomocy

**WIATR W  
ŻAGLE**

**DLA DZIECIĘCEJ  
MEDYCYNY ZABIEGOWEJ**

**12.01.2020**



**GRAMY, BO LUBIMY**  
**DLA RATOWANIA ZDROWIA I ŻYCIA DZIECI**

Heb je wel eens een eland of wisent in het echt gezien? Kilometers lange fiets- en wandelpaden slingeren door een van de oudste nationale parken in Europa.

Het Białowieża Nationaal Park is erkend door UNESCO als "World Biosphere Reserve" en is tevens vermeld op de lijst van Wereld Cultuur Erfgoed.

**Ontdek de geheimen van het Białowieża oerbos!**

[www.polen.travel](http://www.polen.travel)

**BIAŁOWIEŻA  
NATIONAAL PARK  
IN POLEN**

